Nr. 24 We Lwowie, 16 grudnia 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Zwracamy uwagę naszych P. T. Delegatów i Członków na marny stan zajęcy w Małopolsce i polecamy Im jak najdalej idącą powściągliwość w urządzaniu gremialnych polowań.

Prosimy również o dokładne sprawozdania z polowań, gdyż tylko tą drogą uświadomić sobie możemy obecny stan zwierzyny.

Redakcja.

ALBERT MNISZEK

W obronie jelenia w Karpatach

Rezultat tegorocznych łowów w Karpatach, smutne mi nasunął refleksje. Przypomniały mi się dwa artykuły drukowane w roku bieżącym w „Łowcu Polskim", pierwszy w 15 numerze p. t. „W sprawie jelenia karpackiego" p. H. Knothe, drugi w 29 p. t. „W obronie jeleni karpackich" p. Dra W. B.

Obaj autorowie, znakomici myśliwi i znawcy Karpat, godzą się w swych zapatrywaniach na przyszłość króla naszych gór, i są zdania, że jeżeli nie przedsięweźmie się energicznej akcji w jego obronie, grozi mu rychło, jeżeli nie wytępienie, to napewne degeneracja.

Obaj ci Panowie mają słuszność, przyznaję Im ją w zupełności, chociaż z wnioskami p. Dra W. B. nie zupełnie się zgadzam. W roku bieżącym na jakich 30 do 40 ubitych w wschodnich Karpatach byków, ledwie kilka było takich, których wieńce można z pietyzmem na ścianie powiesić! Reszta, to z niemowlęcych ledwie pieluchów wyzwolone osobniki! Zarzut ten nie dotyczy na szczęście małopolskich naszych myśliwych, którzy swą cnotą myśliwską i powściągliwością w strzelaniu jak najlepsze sobie wystawiają świadectwo i z których 90% wraca zwykle z Karpat bez strzału, lecz tych obcych przygodnych strzelaczy, między którymi jest kilku z dalekich stron przybyszów, którym zdaje się, że zadzierżawiwszy rewiry karpackie, mogą w nich rządzić, jak się im podoba bez względu na etykę łowiecką. Jest tych panów z roku na rok coraz więcej, przyjeżdżają i odjeżdżają, nikomu tu nieznani, i przez nikogo nie kontrolowani i wywożą z Karpat często wieńce jelenie zdatne chyba na guziki lub trzonki do nożów. Tak być dalej nie może, jeżeli nie chcemy w niedługim czasie, jak słusznie pisze Dr W. B., przemienić naszych Karpat na Las Wiedeński pod względem typu jeleniego. Cierpi na takim procederze nietylko przyszłość naszego królewskiego zwierza, cierpi też sława polskiego łowiectwa! Są między tymi cudzoziemcami i dobrzy, prawdziwi myśliwi, którzy chwałę Karpat po szerokim roznoszą świecie, wskutek czego napływ cudzoziemskich myśliwych do Karpat rokrocznie wzrasta. Są do dziś dnia niestety dzierżawcami w Kalnicy ci dwaj myśliwi czescy, o których wspomina w swym artykule p. Knothe, co roku strzelają, to co im pod lufę wpadnie, a co gorsze, że prawdopodobnie

odnowią znów w przyszłym roku swoje dzierżawne na szereg lat kontrakty.

Ale wróćmy teraz do artykułów wspomnianych tu dwóch Autorów i rozpatrzmy Ich do ochrony przyszłości karpackiego jelenia zdążające wnioski.

„Zdaniem mojem — pisze p. Knothe, gospodarka łowiecka na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej obejmująca hodowlę, opiekę i kontrolę polowania na jelenie powinna zostać ujętą przez silne i energiczne ręce. By stworzyć silną w tym celu organizację, należy przedewszystkiem: 1) zwołać zebranie organizacyjne i 2) zaprosić na nie: a) Delegatów z Ministerstwa Rolnictwa i Dyrekcji lasów państwowych we Lwowie; b) Delegatów powiatowych z obszarów obejmujących Karpaty; c) Znanych myśliwych i dzierżawców terenów karpackich; d) Ludzi znających się na hodowli jeleni i e) Ludzi pełnych inicjatywy i chętnych do pracy na tem polu. Ci wszyscy powinni i napewno potrafią stworzyć Towarzystwo opieki nad jeleniem w Karpatach".

„Towarzystwo takie powinno posiadać ingerencje na wszystkie tereny, bez względu na to, czy jest to teren rządowy, prywatny, lub dzierżawny od rządu. Instytucja taka powinna nosić charakter półurzędowy, t. j. współdziałać jako siła pomocnicza z Dyrekcją lasów państwowych we Lwowie".

Myśli tu już wyrażonej, należy jak najgoręcej przyklasnąć i tylko ubolewać należy, że „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich", któremu Autor inicjatywę na tem polu proponuje, dotąd nad tą sprawą się nie zastanawiał i że ona na martwym pozostała papierze. Nie zgodziłbym się tylko z Sz. Autorem z dalszemi Jego wnioskami co do ściągania zagranicznych myśliwych do Karpat. Napływ ich i tak z roku na rok się zwiększa, a oferty ich za rewiry są tak hojne, że najzamożniejsi z nas z nimi nie mogą konkurować. Wróci do tego, co było przed wojną, że polowanie w Karpatach było przeważnie w rękach obcych, a dla polskich myśliwych znajdowały się tylko okruchy.

Od siebie dodam, że proponowane przez Autora Towarzystwo opieki nad jeleniem karpackim, miałoby też obowiązek kontroli nad tem, jak się w Karpatach poluje i co się na rykowisku strzela i bezapelacyjną egzekutywę w wymierzaniu kar za nielicujące z etyką łowiecką czyny, t. j. za strzelanie jeleni niełownych. Na to jednak potrzeba, by Ministerstwo Rolnictwa w kontraktach dzierżawnych umieszczało warunek zmuszający wszystkich dzierżawców rewirów Karpackich do przedkładania temu Towarzystwu, względnie przez nie ustanowionej Komisji, wszystkich wieńców ubitych jeleni, rok w rok, po każdem rykowisku, pod rygorem, za pominięcie tego obowiązku, lub za ubicie niełownego jelenia, poraz pierwszy, dotkliwej kary pieniężnej, poraz drugi, unieważnienia kontraktu. Tak postępuje Rząd w Prusach Wschodnich z rewirami posiadającemi łosie i dzięki powyżej wymienionym rygorom, potrafił on zniszczony wojną zwierzostan doprowadzić w ciągu lat kilku do kwitnącego, dzisiejszego stanu. **Wniosek ten mój, jako dodatkowy do wniosku p. Knothego, decydującym Czynnikom w Ministerstwie Rolnictwa i Wydziałowi łowieckiemu przy tem Ministerstwie jak też naszej centralnej Władzy łowieckiej jak najusilniej do rozważenia podaję.**

Wniosek p. Dra W. B. mający na celu ochronę jelenia karpackiego w innym idzie kierunku. P. Dr W. B. głosi oddawna swą tezę przeciw łowom na rykowisku, a w swoim artykule z 15 numeru „Łowca Polskiego" ustąpił na tyle, że pozwoliłby myśliwym polować tylko w drugiej połowie rykowiska, t. j. od 1 do 15 października. P. Dr W. B. jest wogóle przeciwny wykonywaniu polowania na zwierzynę w czasie jej godów weselnych, wychodząc z zasady, że wtedy należy zostawić ją w spokoju. Ta teza w zasadzie bardzo słuszna, nie da się jednak ogółowo w łowiectwie zastosować. Od czasów pierwotnych istnieje w przyrodzie prawo silniejszego, prawo dżungli. W kulturalnem łowiectwie myśliwy nakłada na nie jednak pewne więzy krępujące według potrzeb hodowli i etyki. Od czasów zamierzchłej przeszłości, myślistwo wyzyskuje dla swoich celów momenty erotyczne pewnych gatunków zwierząt, jest to prawo tradycjami i obyczajem uświęcone i tego prawa myśliwy się nie zrzeknie, raz, że daje mu ono wielką myśliwską rozkosz, po drugie, że w zastosowaniu do pewnych gatunków zwierzyny jest ono koniecznością. Na obu półkulach naszego globu poluje się na jelenie i łosie w czasie ich rui i na te gatunki zwierza w ten sposób ujęte łowy uważa się za odpowiednie. Zgodziłbym się z Sz. Autorem częściowo na Jego tezę przy innych gatunkach zwierzyny, na rogacze (sarny) lub jelenie nizinne, dostępne dla myśliwego w każdej porze roku, ale doprawdy nie wiem, jak sobie On wyobraża łowy na jelenia karpackiego poza czasem jego godów! Spotkanie się z tym zwierzem w innej porze roku jest dziełem przypadku, a nieprzypuszczam, by takiego pokroju łowiec, jak Sz. Autor, dał swoje placet na branie miotów na otropionego byka karpackiego na śniegu!

Paragraf prawa łowieckiego, któryby zamknął polowanie na jelenie karpackie podczas rykowiska, dałby na nie wyrok niechybnej zagłady! Myśliwy przestałby się rewirami karpackiemi interesować, a zato polowałby w nich kłusownik i wilk. Szanownemu Autorowi zapewne wiadomo, że w początku drugiej połowy zeszłego stulecia jeleń w Karpatach niemal legendarną był postacią. Niedźwiedź od niego był o wiele pospolitszą zwierzyną. Za moich lat pierwszej młodości, gdy się łowiectwem już żywo interesowałem, nie znałem bodaj nikogo, by się mógł ubiciem jelenia karpackiego poszczycić, a pogromców niedźwiedzi znałem kilku. I dopiero od chwili, w której nasi polscy panowie zaczęli dzierżawić rewiry karpackie i polować na rykowiskach, stan jeleni w szybkiem tempie zaludniać począł puste karpackie prabory. Nie zgodziłbym się nawet z Sz. Autorem na Jego tezę z ustępstwem dla daty 1 października. Początek i koniec rykowiska, czas jego trwania, jak i chwilę najwyższego napięcia opatrzeć możemy datami bardzo chwiejnemi. Zależą one od stanu pogody i kondycji zwierzyny. Posiadam

wieniec 14-taka ubitego w Skolem pod datą 20 września 1912 wśród pełnego ryku, w przeciwieństwie czego zacytuję, choćby rok bieżący, w którym, jak mnie myśliwi informowali, byki w niektórych rewirach dopiero po 1 października zaczęły na dobre ryczeć. Czas łowów na ryku w Karpatach, żadnym paragrafem unormować się nie da. Przypomina mi się w tej chwili następujący zupełnie autentyczny incydent: Pewien zarządca rewiru w zachodnich Karpatach otrzymał od dzierżawcy polowania na depeszę donoszącą mu, że jelenie zaczęły ryczeć i wzywającą go do przyjazdu, brzmiącą dosłownie odpowiedź: „Proszę rykowisko wstrzymać na tydzień, prędzej przyjechać nie mogę“.

Wiadomo chyba jest wszystkim, że początek rykowiska dają najstarsze osobniki płci obojga. Odbywa się ono tajemniczo i milcząco prawie w regule już od połowy września. Myśliwi zjawiają się w górach pod koniec miesiąca, gdy rykowisko dosięga swego najwyższego napięcia. W tym czasie stare, kapitalne byki wywiązały się już po większej części z swych obowiązków reproduktorskich. Zamknięcie polowania do 1 października byłoby bezcelowe.

Degeneracji jelenia karpackiego nie należy kłaść na karb polowań rykowiskowych. Zło leży w tem, że nie wszyscy myśliwi w Karpatach polujący godni są być kapłanami kultu łowieckiego w tej Świątyni Przyrody, i że gospodarka łowiecka nie stoi tam w wielu wypadkach na wysokości zadania, nie jest jednolitą, jak różną jest też kultura łowiecka w pojedyńczych rewirach i etyka łowiecka pojedyńczych właścicieli prawa polowania. Zło leży też i w tem, że w żadnym prawie rewirze karpackim nie odstrzeliwuje się młodych byków o lichej strukturze i gatunku wieńca, jak również i starych łań.

Bez względu na to, jakie wysnujemy wnioski co do sposobów ratowania jelenia karpackiego od degeneracji, musimy przyznać całą słuszność obu Sz. Autorom wspomnianych artykułów co do meritum sprawy i wyrazić Im wdzięczność naszego myśliwskiego zespołu za zwracanie uwagi na tak doniosłą sprawę dla łowiectwa polskiego.

Bezspornie sprawa ta jest aktualną i bardzo na czasie. Za lat kilka, może być już za późno. O ile w ostatnich latach stan jeleni w Karpatach znacznie podniósł się liczebnie, o tyle podupadł jakościowo. Kapitalnych byków prawie że już się nie spotyka i strzela się jelenie młode, jelenie przyszłości, byki, które dopiero za lat kilka mogłyby się stać zdolnymi reproduktorami zwierzostanu. Że tak jest, jak piszę, potwierdzają smutne i coraz smutniejsze rezultaty łowów jesiennych.

A teraz streszczę wnioski, jakie w myśl obu wspomnianych Autorów i mego niniejszego artykułu, należałoby wziąć jak najprędzej pod rozwagę:

Powołać do życia Towarzystwo opieki nad jeleniem w Karpatach z siedzibą we Lwowie w myśl wniosku p. Knothego.

Postulaty naszego łowiectwa, które Towarzystwo to wykonać by miało, byłyby następujące:

1. Przedstawić Ministerstwu Rolnictwa konieczność wprowadzenia w przyszłych kontraktach dzierżawy polowań w rewirach rządowych wobec dzierżawców obowiązku przedkładania wieńców ubitych jeleni po każdorazowem rykowisku, specjalnej komisji łowieckiej we Lwowie pod rygorem kar pieniężnych i rozwiązania kontraktu.

2. Spowodować w Ministerstwie akcję wydzierżawienia prawa polowania na jelenie w rezerwatach okręgów gospodarczych w Karpatach z zastrzeżeniem prawa odstrzału jednego byka rocznie dla zarządcy okręgu.

3. Zainteresować i wciągnąć do akcji właścicieli górskich rewirów prywatnych.

4. Założyć hodowlę rasowych tropowców górskich.

Nad powyższemi wnoskami zechcą się nasze czynniki miarodajne w najkrótszym czasie zastanowić. Potrzebnej inicjatywy w tej sprawie oczekujemy od Centralnego naszego przedstawicielstwa w Warszawie. Ułożenie statutu dla przyszłego Towarzystwa podjąć się mógłby, jako najbliżej sprawy stojący, Wydział Małopolskiego Tow. Łowieckiego.

Chciałbym jeszcze poruszyć tu jedną sprawę z łowami na jelenie ściśle związaną, mianowicie określić bliżej znaczenie definicji: „jeleń łowny“.

Łownym jest taki jeleń, którego wieniec przedstawia wartość zdobyczy łowieckiej (trofeum). Staje się takim z chwilą uzyskania pełnego fizycznego rozwoju, czyli po ukończeniu 8-go roku życia. Odtąd kroczy byk jeleni ku drugiemu etapowi swego żywota, do szczytu swej doskonałości, czyli do wartości kapitalnej, którą zdobędzie zależnie od stosunków życiowych prędzej lub później. Między 17 a 20 rokiem życia, przechodzi już on na drugą stronę szczytu i chyli się ku starości.

W regule więc byk dopiero 8-letni daje myśliwemu w nagrodę za pozbawienie go życia, dobry wieniec, jako wielkiej chwili zaszczytną pamiątkę.

Jako minimum wagi dla dobrego wieńca przyjąć trzeba 6 kg, jako minimum objętości głównych pni między odnogą nadoczną a środkową 16 cm. Wieniec taki posiadać musi koronę składającą się z trzech odnóg, a więc co najmniej cechę 12-taka, względnie koronowanego 10-taka. Takiem jest kryterjum w ocenianiu „łownego byka“.

To jest teorja, ale w jaki sposób młody myśliwy, lub nowicjusz w łowach na rykowisku może w praktyce, a więc na oko, skwalifikować wartość myśliwską podchodzonego przez siebie byka? Otóż pozwolę sobie zauważyć, że myśliwy taki (wiem to z mej własnej praktyki z czasów moich nowicjuszowskich w górach) popełnia zasadniczy błąd, że ujrzawszy jelenia, cel swych myśliwskich zabiegów, nie przypatrzy mu się spokojnie gołem okiem, nie obejmie niem całej jego postaci, lecz chwyta odrazu za szkła i przez nie bada tylko wieniec, rachując odnogi. Wystarcza już zwykle w tej chwili gorączką myśliwską wybujała dość fantazja strzelca, by przecenić siłę wieńca, powiększają go jeszcze szkła

w sposób fantastyczny, szczególnie w czas mglisty, a rezultatem tego jest strzał i ubicie dzieciaka!

Jelenia należy ocenić gołem okiem, przypatrzeć mu się spokojnie. Słabego pozna się wtedy łatwo po braku doskonałości linji w całym widzianym obrazie, popsuje ją słaby, nikły wieniec w stosunku do wielkości zwierzęcia i wtedy dopiero, jeżeli uznamy, że wieniec nie psuje obrazu, należy się mu przez szkła przypatrzeć dokładnie. Cechą dobrego wieńca są silne i długie odnogi oczne (najniższe). Nieomylną też cechą łownego byka jest ruch wahadłowy, który wykonuje jego ciężki wieniec, gdy idzie stępa. Gdy myśliwy tych kilka uwag zapisze w pamięci, nie spotka go przy strzale do króla gór, żadna przykra pomyłka.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W sercu tajgi i tundry syberyjskiej

(Ciąg dalszy)

Lecz kraj Jakucki nietylko jedno złoto posiada. Rozkopki geologa Czehanowskiego w latach 1873—75 odkryły na porzeczu Tunguski, Olenki i Lenie głębokie zależa innych cennych metali i rudy, jak rudniki pięknego srebra, miedzi, ołowiu i żelaza wysokoprocentowego, z którego tuziemcy w sposób bardzo prymitywny wyrabiali domowe narzędzia. Mieszkańcy Aldenu wyrabiają z miedzi kunsztowne naczynia, zachowując głęboką tajemnicę tak w ich wyrobie, jak i o miejscu pochodzenia kruszcu. Cały zaś okręg Wierhojoński posiada prócz ołowiu i srebra, grube pokłady grafitu, wapna, gipsu i cementu oraz płasty gliny przeróżnej, bursztynu, kaolinu nadającego się do robienia doskonałej porcelany. Porzecza Mai, Leny i Wilija obfitują prócz rudy żelaznej w głębokie pokłady węgla kamiennego. W wielu miejscowościach tych okolic natrafia się na skały bazaltowe, ostrokamienne złomy ametystu czarnego, kamienia na toczydła lub litograficzne płyty zdatnego. Geologów zdumiewa niemniej wielka ilość i głębokość pokładów gliny różnokolorowej: szarej jak ziemia, białej jak kreda, zielonej jak trawa, żółtej jak cytryna, oranżowej jak mandarynka, rudej jak cegła, lazurowej jak niebo włoskie, a fioletowej jak piuska kardynalska i czarnej jak sadza. Dziwne są też własności niektórych z tych gatunków. Przyniesiony z gór odłam niebieski, włożony do ognia, rozpęka się z trzaskiem ostrym i rozpryskuje daleko, co objaśnić można pustemi wewnątrz pęcherzykami napełnionemi

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

MÓJ PIERWSZY ZAJĄC

Marzyłem o zabiciu zająca bardzo długo, aż wreszcie zdarzyła się okazja, że danem mi było zapolować na owego grubego zwierza marzeń młodzieńczych.

W towarzystwie administratora majątku, nadleśnego, oraz wielkiej figury rządowej, pana inspektora leśnego, udałem się do lasów na polowanie. W programie strzał do zajęcy, lisów i kuropatw. Kozłów nie pozwolono strzelać.

Pierwszy wymarsz na stanowiska w towarzystwie myśliwych, ile przy tem emocji, ile trwogi, by się nie zhańbić pudłem, bo przecież pudło sąsiada każdy zobaczy.

Ciekawa jest nieraz optyka myśliwego sąsiada. Nigdy prawie nie widzi ładnie zrulowanego zająca, ale spudłowanego zawsze zobaczy. A potem przy myśliwskim bigosie dosyć o tem mowy. Człowiek się tłumaczy, że przecież nie wszystkie chybiał, nic to nie pomoże, każdy widział tego spudłowanego, a zrulowanego nikt, nawet naganka nie chce poświadczyć o fakcie tak doniosłym, jak zrulowanie zająca.

Na tem polowaniu tak jednak nie było.

Najpierw przeszliśmy dobry szmat lasu, nic nie napotkawszy. Potem stanowiska i naganka rusza.

Mnie postawiono między panem inspektorem, groźnym nemrodem, a nadleśnym.

Stanowisko było mi zupełnie obojętne, gdyż nie znałem się wtedy tak na myślistwie, by ocenić dobre lub złe stanowisko.

Zato przyrodą potrafiłem się już wtedy rozkoszować. W naszym polskim krajobrazie, jest jednak tyle poezji, że można się zachwycić.

A krajobraz ten zmienia się jak w kalejdoskopie i zawsze coś nowego przynosi. Karpaty i Tatry to obraz potężny, może trochę za ciężki, zato poczciwe płaszczyzny Podlasia, te mają dla mnie coś z życia ludzkiego. Jak życie ludzkie, melancholijne, jednostajne i tylko czasem są chwile wzruszeń, te wzruszenia, to sosny podlaskie, wszędzie rozrzucone, śmigłe, sięgające w wyższe krainy.

A dla nas myśliwych te chwile nieporównanych wzruszeń, to polowania, zwłaszcza gdy one się odbywają wśród pachnących, wysokich sosen.

W takim to krajobrazie było mi danem zabić pierwszego zająca.

„A jak się stało, opowiem".

powietrzem i gazami. Niemniej dziwne zjawisko wywołuje na ogniu fioletowa glina, która nie posiadając wewnątrz żadnych pustot gazowych, rozpęka się w drobne kawałki z hukiem pistoletowym. Biała zaś glina, wrzucona do zimnej wody, podnosi jej temperaturę do kipienia, jak to robi niegaszone wapno. Wszystkie te cenne a dziwne bogactwa, leżą martwe, w oczekiwaniu na przedsiębiorczość przybyszów. Lecz nietylko samemi metalami i minerałami jest bogaty kraj Jakuta. W głębokich, wiecznie zamarzłych podziemiach tego kraju, kryją się przed okiem ludzkiem cenne a nader rzadkie wykopaliska przedpotopowe, a choć paleozologja niezbyt tam obfita, przedstawia jednak wiele zainteresowania się dla świata uczonego. Naczelne miejsce należy się tu mamutom, tym potworom przedpotopowym, przeleżałym do dziś dnia, zawdzięczając głęboko przemarzłej ziemi, w całej swej formie i okazałości. O tych potworach mówić będę jeszcze w osobnym rozdziale. Wielkie zainteresowanie geologów zrobiło tu odkrycie szczątków nosorożca, współczesnego mieszkańca mamuta, różniącego się wydatnie swemi formami i wielkością od swego pobratymca Afrykańskiego.

Flora na tak obszernych i odmiennych sobie przestrzeniach kolosalnych, jest rażąco jednolitą i skąpą, ta jednostajność jej męczy oko widza.

Tajga, to zwarta ściana, mur olbrzymi kędzierzawych cedrów, strzelistych jodeł, ciemnych świerków masztowych, smukłych sosen konarami o strop niebios wspierających się, pomieszanych z wyniosłą białą brzozą, czarną olchą, grubą osiką i zielono-srebrzystą topolą — oraz gęsto podszytą czeremchą, jarzębiną, czarną porzeczką i wielu niskopiennemi krzewami. Wszystko tam w nieładzie splątane z sobą , zmięte i powikłane, zwichrzone, jakby w wiecznej z sobą walce o istnienie i wywyższenie się ponad inne. Do serca tajgi nie zajrzy promień słoneczny, nie rozpędzi ćmy wiecznej, ani ogrzeje swym ciepłem bez przerwy trwającego chłodu. Tajga rzednie ku północy, maleją stopniowo jej kolosy drzewne, przechodzące w marne krzewy, aż zupełnie giną na progu bezbrzeżnej tundry.

Tundra! Ta sama jej nazwa przeraża podróżnego, budzi w nim mimowolny przestrach i przygnębienie. Polarno-tundrowa roślinność na tych bezbrzeżnych, martwych przestrzeniach, to jeden mech, suche porosty i wrzosy martwe, nikłe powoje czołgające się na rozmiękłym ile, lub kępy starganej rogozy, brunatnej trawki i krzewów czerwonej żórawiny, a wśród tej skąpej roślinności widnieją wielkie łysiny brunatno gliniaste, topiele wodne, lub ogromne, białe, jak kreda wykrystalizowane jeziora solne, oślepiające w świetle słonecznem i srebrzące się w blaskach księżyca.

(C. d. n.)



Otóż stojąc między takimi myśliwymi, sądziłem, że zając, poczuwszy obok dobrych strzelców , wykica na mnie. I tak też było.

Kica sobie zajączek, jest już na jakie 60 kroków odemnie.

Myślę sobie:

„Trzeba go bliżej dopuścić, by jednym celnym strzałem powalić „bestję“.

Coraz bliżej zając, już 40 kroków nas dzieli.

Przeżegnawszy się i poleciwszy opiece św. Huberta, patrona braci myśliwskiej, podnoszę strzelbę do ramienia i...

Wtem strzał pada, zając ruluje, ale równocześnie czuję, że coś uderzyło mnie po butach.

Jak się okazało, pan inspektor, żądny trjumfów łowieckich, nie zastanowił się, co jest zając, a co sąsiad. Zabił wprawdzie zająca, ale też i moje buty niemiłosiernie pokaleczył.

Strzały coraz liczniejsze słychać, a ja stoję zdetonowany, nie dawszy dotychczas ani jednego strzału. Ha trudno, vis maior.

Koniec polowania. Ale jeszcze nadzieja trwa. Przecież „niech żywi nie tracą nadziei“.

Idąc już do leśniczówki, założyliśmy jeszcze jedną ławę.

Myślę i modlę się, by ten zajączek dla mnie przez św. Huberta na debiut przeznaczony pokazał się wreszcie, bym mógł powiedzieć, że okres frycowski już się skończył, bo przecież mam już zająca na sumieniu.

Wtem prawe skrzydło zaczyna ziać ogniem, coraz bliższe strzały, widzę w szalonych susach kota, sadzi wprost na mnie.

Podnoszę strzelbę i walę.

Buch, nic, buch.

Leży, hurra, leży.

Pierwszy zając padł rażony śmiertelnym strzałem z mojej dubeltówki.

Tak to dostały chrzest ogniowy moje buty i tak w pełnej chwale dokończył żywota, zając, przez św. Huberta dla mnie przeznaczony.



Notatki bibljograficzne

I.

Wojciech Bogusławski i jego sztuka: „Henryk VI na łowach".

W „Łowcu Polskim" z dnia 5 października b. r., (Nr. 40, str. 698), pojawiła się wiadomość następująca:

„W celu uczczenia setnej rocznicy śmierci jednego z twórców teatru polskiego, Wojciecha Bogusławskiego, teatr miejski w Łodzi wystawił w sobotę, dnia 21 września, sztukę tegoż Bogusławskiego, pod tytułem „Henryk VI na łowach". Jest to komedja, od przeszło wieku nie grana, niemal zupełnie zapomniana. O sztuce tej, po za ludźmi, specjalnie zajmującymi się historją teatru Bogusławskiego, nikt niemal nie słyszał".

Notatka ta wymaga komentarza, względnie uzupełnienia.

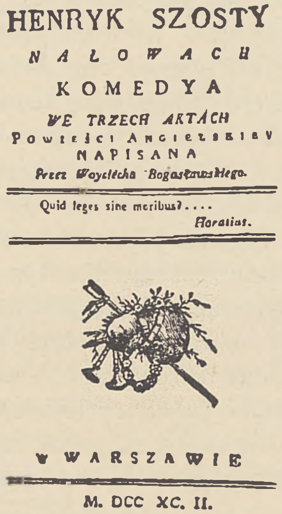
Przedewszystkiem Bogusławskiego nie można, bez wyróżnienia, stawiać w jednym rzędzie z innymi „twórcami" teatru polskiego. Zasługi Wojciecha Bogusławskiego na polu organizowania narodowego teatru polskiego są niepodzielne i tak wielkie, że nadano mu imię ojca naszego teatru. Jak wiadomo, był on nietylko artystą, kierownikiem teatru i pisarzem. Był nadewszystko wielkim „obywatelem, który swą misję spełniał jako posłannictwo, a walka jego z przeciwnościami nie była jedynie walką o te lub inne hasła artystyczne, lecz równocześnie walką o przeistoczenie teatru w placówkę obywatelską. Walczył Bogusławski z przesądami, że teatr nasz nie może dorównać obcym, walczył o jego podniesienie nietylko bronią artysty, lecz także bronią męża stanu, polityka, nierzadko dyplomaty."[1])

Kiedy mowa o sztuce „Henryk VI na łowach", nie mogę się zgodzić z twierdzeniem, że poza historykami teatru „nikt niemal o niej nie słyszał". Przeciwnie, mam przekonanie, że poza historykami sztuki teatralnej, bardzo wiele jest osób, które nietylko wiedzą o istnieniu tego znamiennego utworu, ale nawet treść jego znają. Podobnie jak chef d'oeuvre Bogusławskiego: „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale", także i sztuka „Henryk VI na łowach" miała tendencję polityczną, a popularność jej była tak wielka, że grywana była w konwiktach, szkołach, domach prywatnych, doczekała się też kilku wydań w druku, dokonywanych z wiedzą, a nawet bez wiedzy autora.

Podaję poniżej reprodukcję karty tytułowej jednego z wydań.

„Henryk VI na łowach" napisany był w r. 1780 a wystawiony w Warszawie po raz pierwszy dnia 8 września 1792. We Lwowie grany był dnia 11 lutego 1815, na przedstawieniu galowem w przeddzień urodzin cesarza Franciszka I.

Myśl napisania tej sztuki powstała pod wpływem angielskiej powieści Dodsleya: „Król i młynarz z Masfield" (1737), będącej zarazem źródłem opery Sedaine'a „Le Roi et le fehmier" oraz komedji Collégo „La partie de chasse de Henri IV". Bernacki zwraca uwagę, że ta ostatnia komedja grywana była w pijarskiem Collegium Nobilium, którego Bogusławski był uczniem, i że tu zapewne z jej treścią się był zapoznał.[2])


HENRYK SZOSTY
NA ŁOWACH
KOMEDYA
WE TRZECH AKTACH
Powieści Angielskiey
NAPISANA
Przez Woyciecha Bogusławskiego.

Quid leges sine moribus? ....
Horatius.

W WARSZAWIE
M. DCC XC. II.

„Kilka rozmów, dla nader trafnej krytyki obyczajów, — pisze sam Bogusławski o swej przeróbce[3]), — całkiem prawie wzięte, reszta osnowy zupełnie inaczej ułożoną i innemi osobami zapełnioną została". W osobie postaci tytułowej (Henryka VI) przedstawiał Bogusławski Stanisława Augusta.

Sztuka ta ma jednak jeszcze pewne ciekawe znaczenie dla historji naszego łowiectwa, a raczej naszych podań łowieckich. Miała ona mianowicie dać genezę legendzie o t. zw. przygodzie myśliwskiej Jana III w Krasnopuszczy. Niema, jak dotąd, dowodów historycznych, stwierdzających faktyczne istnienie tej przygody Sobieskiego, który rzekomo w pogoni za zwierzem zabłąkać się miał w puszczy i usłyszeć od pustelnika proroczą wyrocznię o królewskiej koronie. Bliższe szczegóły o tej legendzie i o jej związku z utworem Bogusławskiego: „Henryk VI na łowach", przytoczyłem w pracy: „Jan Sobieski jako myśliwy".[4])

II.

Stanisław Zaborowski. W sercu kniei. Obrazy myśliwskie. Wydanie drugie, powiększone. Warszawa 1930. Dom książki polskiej. Str. 237. Okładka ozdobna, z rysunkiem Ryszkiewicza (jun.).

Kiedy pierwsze studja z cyklu, objętego później zbiorowym tytułem: „W sercu kniei", podpisane skromnemi inicjałami „St. Z.", pojawiły się w „Łowcu Polskim", krytyka nie kryła się z entuzjazmem. „Kurjer War-

[1]) Zob.: Wiktor Brumer, Służba narodowa Wojciecha Bogusławskiego. Warszawa, 1929. Hoesick.

[2]) Ludwik Bernacki, Teatr, dramat i muzyka za Stanisława Augusta. Lwów, 1925, tom II, str. 248.

[3]) Zob.: Wojciech Bogusławski, Dzieła dramatyczne, oryginalne i tłumaczone, 12 tomów. Warszawa 1820—1823. (Tom V).

[4]) „Łowiec" 1926. (Także w osobnej odbitce, Lwów, 1926.)

szawski“ uderzył odrazu w surm pochwalny.[1]) Niewielki zapas odbitek rozdał autor swym przyjaciołom. Ten i ów i z poza czytelników „Łowca Polskiego“ dostał więc taki klejnot, jak „W taki to cichy jesienny wieczór...“, „Na niedźwiedzia“, „Na rojstach litewskich“, albo, okazalej już wydanego „Trubadura“. Wreszcie w roku 1914 cały cykl, z dodatkiem trzech dalszych utworów („Na łosia“, „Nad morzem“ i „Na świętego Huberta“) ukazał się na półkach księgarskich w postaci książki i odtąd ten, bez przesady, najwyższy wyraz literatury o motywach przyrodniczo-łowieckich, stał się własnością ogółu. Książka została doszczętnie rozchwytana, przyszła jednak wojna, tak, że dopiero w roku 1927 przystąpiono do ponownego wydania w „Bibljotece przygód myśliwskich“ (pod redakcją Juljana Ejsmonda). Wydrukowano wtedy jednak tylko część cyklu („Jak Trubadur“ i „Na rojstach“), dalsza część z powodu zwinięcia wydawnictw „Bibljoteki“, nie pojawiła się. Wtedy to p. Juljan Ejsmond ogłosił w „Łowcu Polskim“[2]) przepiękny artykuł pod tytułem: Stanisław Zaborowski — poeta puszczy. „Pisząc o książce Zaborowskiego i chcąc pisać pięknie, ma się poprostu pokusę powtarzać za autorem jego czarodziejską opowieść“ — mówi Ejsmond. A dalej: „Toś Ty ukazał mi w Swoich natchnionych obrazach myśliwskich piękno, którego czar padł na mą duszę i urzekł ją na zawsze!“

Zaiste trudno trafniej określić wrażenia, jakich się doznaje, czytając Zaborowskiego. Ale wrażenia te, to proces złożony. Z jakiegokolwiek stanowiska zechcemy patrzeć na utwory „czarodzieja“, znajdziemy w nich wartości doskonałe, znajdziemy jasne i jakby nieoczekiwane odpowiedzi na pytania, podświadomie wypielęgnowane, znajdziemy piękno i prawdę, ujęte w świetną formę muzyki słowa.

Zaborowski-artysta, malując przyrodę, jest niezrównanym, przez nikogo nieprześcignionym mistrzem w deskrypcji. To jedna prawda. Zaborowski-esteta, intuicyjnie wydobywa z naszych serc uśpione tam uczucia piękna, których sami wyrazić byśmy nie umieli, pomimo, że wydają nam się one takie dziwnie jasne. To druga prawda. Zaborowski-psycholog, wzbudza w nas refleksje przedewszystkiem etyczne. Uszlachetnia nas. To trzecia prawda. Ale Zaborowski jest ponad to wszystko filozofem. Z jego kart wieje przekonywująca nas, mądra, filozofja przyrody. Człowiek jest tam małą cząstką, może nawet lichą cząstką. Zdemaskowana ofiara cywilizacji, człowiek, w pełni swych wad i ułomności, staje osłupiały na progu świątyni wszech-przyrody i olśniony patrzy, słucha i myśli. Chwilami prainstynkt pcha go jeszcze do walki z jakimś pysznym zwierzem. Głosowi temu ulega, aby zrozumieć, że nie było żadnej walki, ani o byt, ani o futro, ani o mięso. Człowiek wdarł się w Serce kniei i zabił. Chwilami więc odkłada broń i jak św. Hubert, popada w ekstazę na widok ukoronowanego władcy ostępu, w którego wieńcu brakło tylko krzyża.

Jednemu z najznakomitszych myśliwych małopolskich nadano raz przydomek „Zastępcy św. Huberta na ziemi“ za to, że nie strzelił do najpyszniejszego jelenia, jakiego w życiu widział, — nie strzelił, bo brakło jeszcze kilku minut do tej godziny, w której wolno mu było użyć broni. Przydomek ten, za arcydzieło, zatytułowane: „W taki to cichy jesienny wieczór...“, należy się bezsprzecznie i panu Zaborowskiemu. Utwór ten wznosi nas na najszczytniejsze wyżyny etyki i filozofji łowieckiej.

Witajże książko najlepsza!

. . . .

Obecne, nowe wydanie, powiększono przez dodanie jeszcze dwóch utworów: „Z psami“ i „Fałat i Polesie“. Ocenę pierwszego z nich podaliśmy w swoim czasie.[3]) O drugim uczyniliśmy wzmiankę przy sposobności wspomnienia o ś. p. Fałacie.[4])

Witołd Ziembicki

[1]) Zob.: „Łowiec Polski“ 1906, str. 364.

[2]) „Łowiec Polski“ 1927, str. 38.

[3]) „Łowiec“ 1927, str. 184.

[4]) „Łowiec“, zeszyt z dnia 1 sierpnia b. r.



Korespondencje

Szanowna Redakcjo!

Przedewszystkiem proszę tą drogą o pośrednictwo w wyrażeniu mych uczuć szczerego ubolewania Czcigodnemu Autorowi artykułu „Nasze myszołowy“ z powodu użycia w moim artykule zwrotów, które mogły Go do tego stopnia dotknąć, jak daje temu wyraz w odnośnej korespondencji do Szan. Redakcji.

Proszę jednak równocześnie przyjąć do wiadomości następujące wyjaśnienie w sprawie zarzutów, stawianych mi przez p. Al. Przedrzymirskiego:

1) Artykuł, Nasze myszołowy, w drugiej swej części, jest odpowiedzią na — może nie wyłącznie, ale głównie —

mój artykuł „Zdemaskowanie myszołowa", który właśnie całą dyskusję wywołał, więc musiałem mój następny artykuł jako odpowiedź skierować pod adresem p. A. Przedrzymirskiego.

2) Nieznanie się autorów nie wyklucza przecież możliwości wdawania się w dyskusję.

3) Artykuł, Nasze myszołowy, w drugiej swej części, odnoszącej się do obcych obserwacyj kwestjonuje w nader resztą oględny, kulturalny i dostojny sposób w całej swej rozciągłości wiarygodność podanych przeze mnie jako skonstatowanych obserwacyj, czy to własnych, czy ludzi dobrze mi znanych — co stwierdzam mimo przeciwnego zdania Czcigodnego Autora i Szan. Red. tak samo, jak i drugą nić przewodnią artykułu, t. j. niedowierzanie, aby ktoś drugi, zwłaszcza młodszy wiekiem, mógł też trafne obserwacje robić.

Do tych dwóch, głównie treść mego artykułu, Zdemaskowanie myszołowa, dotyczących, momentów odnoszą się moje nieszczęsne apostrofy.

Na główny zarzut braku wiarygodności powinienem był właściwie podać jako jedyny możliwy dowód, moje „curiculum vitae", które trwając w dziedzinie łowiectwa od lat chłopięcych, niestety już 40 lat (a nie 4, jak Szan. Red. przypuszcza) i to w okolicy wyjątkowo w ptaki drapieżne obfitującej, umożliwiło mi jako tako ich rozpoznawanie. Jako na dowód tej obfitości drapieżników powinienem był znów powołać się na ściany przedpokoju dworu Chorobrowskiego, z których witają wchodzącego przybysza oprócz orłów w kilku odmianach, między innemi także wcale niecodzienni goście nietylko pól Chorobrowskich, ale i całej Polski: od olbrzyma sępa płowego (Vultur fulvus) do królewskiego karzełka w postaci miniaturowego orła włochatego (A. penata) i sokoła raroga (niewędrownego).

A dla skonstatowania obecności śniegułek czy muchołówki żałobnej i t. p. zlustrowałem wiele razy nie tablice czy książki u siebie w kancelarji, ale szafy w muzeum Dzieduszyckich. Zamiast temi szczegółami rzeczywiście nudzić czytelnika, użyłem nieszczęsnych zwrotów retorycznych o curiculum vitae i dalej o anegdotkach w kąciku humorystycznym zamiast powiedzieć, że traktuję rzecz serjo, jeżeli podaję ją do publicznej wiadomości.

4) Co do zarzutu braku rzeczowości w mej argumentacji, to pozwolę sobie zwrócić uwagę, że argumentacja moja polega na podaniu faktów zaobserwowanych przez różnych ludzi, a nawet i w Niemczech. Żądełka zaś i uszczypliwości, do których użycia w kilku pojedyńczych miejscach się przyznaję i co do których już na początku tego pisma moje ubolewanie z powodu złego zrozumienia ich wyraziłem, są tylko mało znaczącemi akcesorjami, które się w każdej dyskusji mimowoli pod pióro cisną, a p r o w o k o w a n e bywają zawsze odnośnemi momentami z wywodów oponenta — inaczej nie miałyby racji bytu, bo byłyby bezsensowne.

Jeżeli Czcigodny Autor uważa, że są agresywne i nazywa je niewłaściwościami a nawet ostrzeniem sobie języka na Nim, to tem bardziej żałuję, że je użyłem, ale mam nadzieję, że ogólnie były one łaskawiej traktowane jako zwykły, nieszkodliwy pieprz w potrawie.

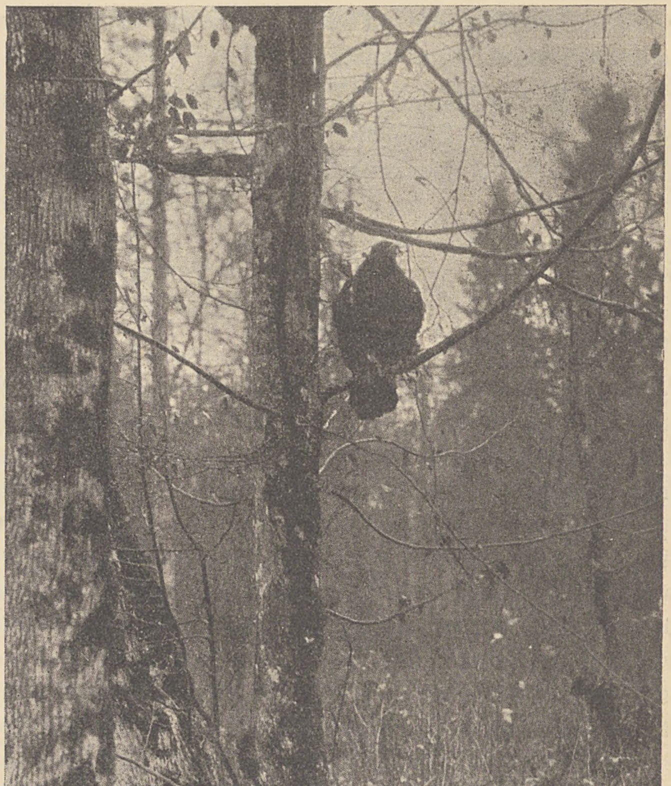
5) W sprawie unoszenia myszołowa do łowów nie doczekałem się niestety przy pisaniu „W obronie mego artykułu" odpowiedzi z Niemiec, która dopiero teraz nadeszła od sekretarza stowarzyszenia „Deutscher Falkenorden". Stwierdza on, że próby z myszołowem były rzeczywiście robione — więc jednak widocznie przypisywano mu potrzebne zdolności — ale zawiodły z wyjątkiem bardzo nielicznych wypadków. Co do pożywienia myszołowa, podaje znane wszystkim jeszcze z historji naturalnej daty.

Przedwczesnem użyciem tego mego ostatniego argumentu odkryłem moją „piętę Achillesa", a celne cięcie Czcigodnego Mistrza stwierdzam wyraźnem „touché" — i składam broń!

Z wysokiem poważaniem
Mieczysław Kruszewski

Łaskawy głuszec

W połowie września r. b. gajowy Nadleśnictwa Leśniańskiego (Puszcza Biaołwieska), Mikołaj Dubko, zobaczył podczas obchodu lasu, spacerującego po drodze



oddz. 545 głuszca-koguta. Głuszec przy przybliżeniu gajowego, nie okazywał żadnej ochoty do poderwania się, lecz spokojnie kroczył dalej, zbierając po ziemi nasiona chwastów i kamyczki. Mikołaj Dubko, podejrzewając, że

głuszec jest postrzelony, zaczął podchodzić go, a w miarę tego, jak się zbliżał, podejrzenie przechodziło stopniowo w przekonanie, gdyż ptak posuwał się stale w pewnej odległości na nogach. Zniecierpliwiony, rzucił wreszcie w kierunku głuszca grudkę ziemi, co wywołało nieoczekiwany skutek, gdyż ptak poderwał się, wzbił się ponad korony drzew i siadł na wierzchołku jednego z nich, a po chwili odleciał w las.



Od tego czasu dawał się on widzieć w oddziale 545 i sąsiednim 579, nie okazując na widok ludzi żadnej bojaźni, a przeciwnie — dużą skłonność do obcowania z nimi. Gdy w oddziale 579 rozpoczęła się praca na zrębie, głuszec coraz częściej zaczął miejsce to nawiedzać, objadając pączki z koron spuszczanych sosen.

Upodobał sobie szczególnie jedną piłę, w której pracowali Mikołaj Denisiuk i Aleksander Abramczuk, przybyli do Puszczy z Wołynia, jako robotnicy leśni, a zamieszkujący na pobliskiej osadzie Podcerkiew. Gdy tylko wzmiankowani rozpoczynali pracę, na pierwszy stuk ich siekier przylatywał głuszec i przebywał w ich towarzystwie do zmroku, sadowiąc się na noc w koronie jednego z pobliskich drzew. Obserwowano wprost nieprawdopodobne, a jednak autentyczne sceny, gdy głuszec podchodził do leżącej sosny, którą przerzynali robotnicy, wskakiwał na nią i spacerował po niej przeszkadzając nieraz w pracy. — Był wypadek, że gdy brakarz, p. Jan Maćkowiak, przysiadł na jednej z kłód, robiąc zapisy do numerownika, głuszec wskoczył na nią, podszedł do p. M. i najspokojniej począł zdziobywać muchy, które siadały na kurtce na plecach. Z reguły, po spuszczeniu danego drzewa, głuszec biegł zawsze ku jego koronie i z zadowoleniem objadał pączki. W przerwach zbierał po ziemi żołędzie, owady, nasiona chwastów i kamyczki. Gdy wspomniani robotnicy, z tej czy innej przyczyny, nie zjawili się do pracy, głuszec trzymał się (nie tak blisko jednak), w pobliżu innych robotników, pracujących na tym samym zrębie.

W niedzielę i święta, gdy pracy w lesie nie było, nie pokazywał się na zrębie zupełnie. Należy zaznaczyć, że głuszec był stale obserwowany, a robotnicy mieli nakazane nie czynić mu najmniejszej krzywdy. Tak trwało do dnia 12 listopada, gdy, ze względu na duży już rozgłos, zachodziła poważna obawa, że ktoś jednak może go schwytać lub zabić. Ponieważ i sami robotnicy obawiali się odpowiedzialności, więc jeden z nich (Jan Olszewski z Czerladki), schwytał go rękami i odniósł na osadę leśniczego, p. Bronisława Kruka. Gajowy Mikołaj Dubko i robotnicy zdecydowali się na to dopiero po kilkudniowych próbach odstraszenia głuszca od ludzi, co jednak nie dawało rezultatu, gdyż głuszec jedynie mruczał i bił dziobem o ziemię lub kłodę, okazując w ten sposób swoje niezadowolenie.



Przyniesiony na leśniczówkę i osadzony w jednym z pokoi, czuł się trochę nieswojo, nie okazując jednak żadnych zamiarów ucieczki i żadnych obaw przy zbliżaniu się ludzi, a nawet braniu go na ręce. Gdy nakarmionego wynoszono do lasu i sadzano na jakiej

kłodzie, to spokojnie spacerował, stał albo siedział na niej. Wiek jego, sądząc po dość jasnym dzióbie stosunkowo małej jeszcze białej pstrokaciźnie i nogach, można szacować na 2 lata. Załączone fotografie, sporządzone na polecenie Wicedyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży, p. J. Zawadzkiego, przedstawiają właśnie kilka tego rodzaju ciekawych momentów. Głuszec w dniu 14 b. m. został odesłany do ogrodu zoologicznego w Warszawie.

J. Miłobędzki
dyr. lasów państw. w Białowieży

Kobylec, w listopadzie 1929

Głos z Pokucia

Dziwnie słaby przelot ptactwa, obserwujemy tej jesieni. Gęsi, które zazwyczaj licznie zapadają i długo biwakują na okolicznych łanach, prawie nie widać. Nalot słonek minimalny. Tylko siewki złote (charadrius pluvialis) — jak co roku — nas nie ominęły; widziano je w całej okolicy, szczególnie nad Prutem.

Rzadki gość pojawił się w sąsiedniej Turce borszczowskiej (powiat śniatyński). Widziano tam raz dwa, w kilka dni później cztery dropie. O ciekawem zdarzeniu doniesiono mi z Hańkowiec. Oto posłaniec konny wracając do domu, spostrzegł opodal ogromnego ptaka coś operującego na otwartem polu. Podjechawszy bliżej, spłoszył rzekomo orła, który zajęty był kosztowaniem lisiego czombra. Mykita był niestety zupełnie sparszywiały.

Leopold Łyszkowski

Przystań w listopadzie 1992

Czytając w numerze 20 „Łowca" nader barwny opis polowania na kaczki na błotach poleskich przez WP. Gürtlera naprowadziło mi na myśl miłe choć w części podobne myśliwskie z lat młodszych wspomnienia w t. z. Łęgach Przystańskich nad rzeką Ratą w powiecie żółkiewskim. — Łęgi Przystańskie, pocięte w różnych kierunkach ramionami i strugami rzeki Raty, obejmują obszar 600 morgowy zalany wodą, zarosły rogożą-szuwarem, pojedyńczą olchą odroślową, gęstą łozą, kaliną, szakłakiem i dzikim chmielem, tworząc w niektórych miejscach wprost nieprzebyte gąszcze, dostępne tylko na bardzo wygodne i ochronne pielesze rodu kaczego. W miniaturze istne błota i bagna Polesia.

To też przed wojną, gdy jeszcze regulacja rzeki Raty nie była rozpoczęta, niezliczona ilość różnego gatunku kaczek, lęgowych żórawi, krzyków, a w lata suchsze na miejscach eksponowanych sporo dubeltów gnieździło się i wychowywało. Polowania na kaczki w tych łęgach urządzałem na tak zwaną zasiadkę czyli „dodniówkę". Wieczorem po zachodzie słońca w noce księżycowe z końcem lipca lub początkiem sierpnia wybierało się nas kilku w pewien zakątek tego Łęgu na t. zw. „Szerokie", wozami drabiniastemi z prowiantami i nieodstępnym samowarem na postój pod trzy rozłożyste, samotnie stojące na suchym pagórku bliźniacze dęby.

Tu w oczekiwaniu świtu, przy z dwóch stron płonących łuczywach, zabawialiśmy się grając whista, lub też opowiadając swoje przygody myśliwskie — mniej zaś wytrzymali zasypiali na wozach.

Gdy się świt już zbliżał, stary, a dziś już nieżyjący gajowy ś. p. Semko, wołając charakterystycznym sopranowym głosikiem, gasząc przytem ogniska „Proszu Paniw, wże czas jichaty" — prowadził nas do czółna i po dwóch rozwoził na zakręty rzeki, rozlokowując na każdym łuku po jednym myśliwym w ten sposób, że wszyscy myśliwi przy pomocy zapalonych skałek (zastępujących dzisiejsze lampki elektryczne) obznajamiali się ze stanowiskami sąsiadów. — Strzelać wolno było tylko przed siebie na szeroką taflę wody lub też w górę. Gorączkowa chwila oczekiwania! — Głośne kwak! kwak! starej kaczki, która jako rekonensas zapadała i głośnem kwakaniem zapraszała towarzyszki — raptem szum i świst ogromny i setki kaczek wracających z nocnych żerów zapadało, a wtedy zaczynała się bez przerwy trwająca nie dłużej jak 10—15 minut strzelanina półładunkami z większą dawką śrutu, gdyż najdalszy strzał dany był na 15—20 kroków. — Po pierwszych strzałach wprawdzie żyjące jeszcze kaczki odlatywały, lecz że dym (wówczas strzelało się jeszcze dymnym prochem) utworzył formalną mglistą zasłonę nad taflą wody — wracały wraz ze świeżo przybyłemi, tak, że strzelało się w dalszym ciągu, a stary Semko stojąc w czółnie przy zaporze zrobionej ze ściętej olchy w poprzek koryta rzeki, płynące z wodą ustrzelane kaczki zbierał do czółna. Rezultat takiej dodniówki, dawał nam 200—300 kaczek. Polowanie takie powtarzać można było co kilka dni, o ile czas i przybycie jakiego amatora na powyższe gody pozwalało.

Niestety, „tempora mutantur" i dzisiaj skoro kultura w postaci regulacji rzeki Raty postępując, ujęła wody szeroko rozlane w jedno koryto, kaczki nie mając już dogodnych miejsc, przeniosły się gdzie indziej, a tylko skromna ilość wychowywa się na pozostałych mniejszych błotkach — gdzie jeszcze regulacja nie doszła, a gdzie niezmordowany myśliwy mój szwagier Prof. Dr. Obm. zawsze rok rocznie podczas wakacji ustrzeli kilkadziesiąt kaczek a w roku 1927 rekord tego uciążliwego łażenia po błocie uwieńczył cyfrą 100 kaczek.

Jak z jednej strony wychodząc ze stanowiska rolnika i jako prezes Spółki Wodnej — pragnąłbym, aby jak najśpieszniej przeprowadzoną została ta regulacja, z drugiej zaś strony jako myśliwy nie mogę odżałować tych niepowrotnych wspaniałych polowań, tego uroku, jaki się odczuwało w tej dzikiej a tak powabnej ostoi kaczek.

Radzikowski
delegat powiatu żółkiewskiego

Ostobuż, 29 listopada 1929

Najnowsza teorja uważa dzika za dobrodzieja i opiekuna kultur leśnych, albowiem wyjada on pędraki i chroni przez to młode korzonki drzew leśnych przed zniszczeniem. Czasem jednak zdarza się, że dzik zamiast pokarmu mięsnego, pragnie pożywić się i owocami.

Prebywające w lasach tutejszych dziki nabrały ogromnego apetytu na owoce dębiny, na tak zwaną żołędź, tak dalece, że żołądź dziś wysadzona w kulturach, bywa doszczętnie zjadaną przez dziki już w noc następną. Pan Pawlik, nadleśniczy w Wulce mazowieckiej, któremu dziki zjadły 7 q wysadzonej żołędzi, chcąc się uwolnić od tych opiekunów kultur, wezwał nas kilku najbliższych sąsiadów na dzień 16 listopada b. r. do pomocy celem przerwania apetytu dzikom na wysadzaną przez niego żołędź.

W drugim miocie (około 10 godziny) wyszedł na p. Kierskiego odyniec, którego p. Kierski postrzelił. W następnych kilku miotach, dzików nie było, bo tegoż dnia o wschodzie słońca wyrwały się jamniki p. Pawlika z zamknięcia i zapolowawszy bez myśliwych, rozpędziły dziki bądźto do lasów Karowskich bądź do Chlewczan.

Po śniadaniu braliśmy szósty miot. Pan Kierski stanął na stanowisku drugiem a myśmy zastępowali na następne stanowiska.

Gdy stanąłem na stanowisku Nr 4 i złamałem sztuciec celem włożenia ładunków, usłyszałem strzał ze stanowiska Nr 2 i widziałem, że p. Kierski nie może zamknąć drylinga, do którego chciał włożyć nowy nabój. Po bezskutecznem usiłowaniu włożenia naboju, słyszę jak p. K. mówi do swego sąsiada „chodź Jasiu i dobij dzika, bo mnie się dryling zaciął, a dzik jeszcze wstaje". Gdy miot się jeszcze nie rozpoczął, poszedłem do p. K., który przecież wkońcu dryling nabił i dobił dzika. Tam dowiedziałem się, że p. Kierskiego dzik z tyłu napadł a p. K. miał zaledwie tyle czasu, iż odskoczył w bok z krzesełka na którem siedział, a dzik w całym pędzie wpadł na to krzesełko, które ryjem podrzucił — ale w tej chwili padł strzał dany na odległość trzech metrów. Okazało się, że był to ten sam dzik, którego p. K. postrzelił o godzinie 10, a który w 4 godziny później chciał się zemścić na p. K. za postrzelenie.

Był to 4-letni odyniec wagi 140 kg, niezwykle tłusty. Oprócz tego dzika padło 3 lisy, z których jeden był parszywy. Do zajęcy nie strzelaliśmy. Sarn i zajęcy jest mniej niż w roku ubiegłym, ale stan ich jest lepszy, niż się tego można było spodziewać.

Powodem niemożności ponownego nabicia lufy ekspresowej (450) był fakt, że w kupionym w jednym z magazynów lwowskich broni we Lwowie, ładunku kulowym nie było prochu. Siła wybuchu spłonki wtłoczyła kulę w początek gwintów, którą dopiero w domu z trudem udało się wybić.

Dnia 21 b. m. zastrzeliłem słonkę. Słonka całkiem zdrowa i bardzo tłuszczem oblana zerwała się przed chłopcami z bagienka w lesie.

Kazimierz Wysocki

Krosniewice w listopadzie 1929

W Krośniewicach odbyło się polowanie w dniu 6 i 7 listopada w 9 strzelb, padło w 20 miotach 563 bażantów-kogutów, 35 kuropatw, 2 słonki, 1 królik, 2 jastrzęstrzębie, 2 sojki, razem 605 sztuk.

Rudna, 4 grudnia 1929

O zajączkowych polowaniach w bieżącym sezonie

Uważam za obowiązek zabrać w „Łowcu" głos w sprawie tegorocznych polowań na zające, a raczej w sprawie ich ochrony.

Należy ciągle o tem pamiętać, że skutkiem fatalnej zimy 1928/29, w której mrozy dochodziły w tut. powiecie do 42° C. ucierpiała ogromnie na dużych przestrzeniach wszelka zwierzyna łowna. Bardzo poważne straty spowodowała ta zima także wśród zajęczego rodu. W łowiskach wzorowo prowadzonych tut powiatu, wyginęło skutkiem zimy 25—30% zajęcy. W rewirach mniej pilnowanych a zwłaszcza tam gdzie należycie nie dożywiano zwierzyny, spadł stan zajęcy o przeszło 50%.

Jest rzeczą Władz i prawdziwych myśliwych, którzy poważnie traktują łowiectwo, czuwać nad tem, aby zima 1929/30 a przedewszystkiem polowania tego sezonu, nie powiększyły już i tak ogromnej u nas klęski.

Stwierdzić niestety trzeba, że wiele terenów łowieckich w Rzeszowskim powiecie zostało wydzierżawionych osobom, które z prawdziwem łowiectwem nie mają nic wspólnego — osobom, które w nader pierwotny sposób traktują polowanie — to jest które chcą o ile możności jak najwięcej zastrzelić na wydzierżawionych przez siebie terenach, aby potem uzyskaną zwierzynę jak najprędzej spieniężyć i odbić sobie koszta związane z dzierżawą terenu łowieckiego i polowaniem, — ale które dla podniesienia zwierzostanu nic absolutnie nie robią i robić nawet nie są w stanie.

Na innych znowu terenach łowieckich, należących nawet do „poważnych firm", poluje na gremjalnych polowaniach stanowczo za wiele strzelb, skutkiem czego polowania na zające (zwłaszcza w kotły) przeradzają się w zajęcze „obławy".

W normalnych, a więc pomyślnych dla rozmnoży zwierzyny latach — zwierzostan się oczywiście przez takie polowania nie podnosi — ale można to ostatecznie przeboleć, bo przyrost naturalny wyrownuje poniekąd straty.

Po okrutnej zimie 1928/29, myśliwy polujący dla zysku, względnie polowania przy zadużej liczbie uczestników łatwo mogą doprowadzić do zupełnego wyniszczenia zajęcy.

Dlatego powinno się wszelkiemi sposobami starać o to, aby czas polowań w tym sezonie możliwie ograniczyć. Zakaz polowania na zające jedynie do 15 listopada b. r. uważam za zupełnie nie wystraczający. Ideałem by było zupełne zamknięcie polowania na zające, ponieważ to jednakże jest już niemożliwością, więc należałoby przynajmniej polowania w tym sezonie zredukować do minimum, a rozszerzyć czas ochronny na drugą połowę stycznia 1930 roku, tak aby zajączkowe polowania skończyły się z dniem 15 stycznia 1930 r.

W Rzeszowskim powiecie odbyło się już kilka polowań gremjalnych. Rezultat tych polowań oczywiście marny.

Sądzę, że to już ostatnia chwila do rozpoczęcia intensywnej kampanji za ochroną zająca w tym sezonie — inaczej bowiem klęska i tak już duża może łatwo przybrać katastrofalne rozmiary.

Ufam, że znany z energji, zasłużony nasz Prezes i Wydział M. T. Ł. w którym mamy elitę naszych łowców, weźmie energicznie ród zajęczy w obronę, choćby to się niektórym zapalonym „strzelaczom" nie podobało.

Stanisław Korwin-Milewski
delegat

Z treścią powyższej korespondencji p. delegata Korwin-Milewskiego, najzupełniej się zgadzam i wnioski jego jak najgoręcej popieram.

Jan Jędrzejowicz
delegat C. Zw. Pol. Tow. Łow. i M. T. Ł.
Prezes. pow. Komisji Łowieckiej w Rzeszowie

Z Oddziału Mał. Tow. Łowieckiego w Krakowie
O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

(Ciąg dalszy)

Borsuk (nie wolno chwytać i podlega ochronie od 1 grudnia do 31 sierpnia), rzadziej pojawiający się i znacznie mniej szkodliwy aniżeli lis, z natury taksamo ostrożny, opuszcza norę najczęściej nocą, zagraża lęgom kuropatw, bażantów i leśnych kuraków (jarząbek, cietrzew, głuszec, skrzekot), młodym zajączkom i koźlętom. Zasypia na zimę — przy łagodnej aurze wychodzi z nory także w zimowych miesiącach. Poluje się na niego z jamnikiem lub bez, a także przy nęcisku, podobnie jak na lisa. Do nęciska ze świeżą padliną (na rozkładającą się nie idzie) prowadzi się tak samo obwłokę, również ze świeżej przynęty, od zamieszkanej nory aż do nęciska.

Wydra (wolno także chwytać) obecnie już tylko rzadziej się pojawia. Przebywa w nadbrzeżnych norach, z których niemal zawsze jeden lub dwa wyloty prowadzą pod zwierciadło wody. Szkodliwą jest głównie dla ryb, a także dla ptactwa wodnego i jego lęgów. Czatowanie ze strzelbą w jasne noce księżycowe (dozwolone art. 47 ust. łow.) rzadko tylko się udaje, z powodu ciągle zmienianych ścieżek (miejsc wychodzenia wydry z wody, widocznych po tropach, wydzielinach i odpadkach z ryb). Najczęściej chwyta się wydrę w żelaza zakryte piaskiem lub mułem i założone na ścieżkach zawsze na kilka centymetrów pod poziomem wody na gruncie płytkim, ewentualnie gdy woda przy brzegach głębsza, zakłada się żelaza na sztucznem podwyższeniu palikowem (cztery paliki wbite w kwadrat i połączone u góry listwami). Żelazo przywiązuje się na silnym łańcuchu do drzewa lub osobnego pala na brzegu. Złapana wydra idzie z żelazem na spód i ginie wkrótce przez utopienie się.

Żbika, jako już coraz rzadszy okaz leśny, pomijamy.

Jastrząb-gołębiarz (wolno go także chwytać), przy swej zwinności i krwiożerczości najniebezpieczniejszy skrzydlaty rabuś, zagrażający zwierzynie w powietrzu, na lądzie, wodzie, w otwartem polu i w lesie — atakuje upatrzoną ofiarę ze wszystkich stron i ściga ją wytrwale z reguły aż do skutku. Głównie padają jego ofiarą kuropatwy, bażanty i zające.

Chwyta się go w dzień na kosz z żelazem z przynętą żywego gołębia, ustawiony wyżej na osłonionym zielenią palu na otwartem zdala widocznem miejscu albo lepiej, ustawiony na skrajach lasów, wyrębach, w kulturach leśnych i t. p., a to u szczytu drzewka lub gęstwiny, jednak w ten sposób, ażeby kosz z boków zakryty był dokoła zielenią a tylko od góry odsłaniał zupełnie widok na gołębia, dla ściągnięcia nań uderzenia jastrzębia wprost zgóry. Inaczej jastrząb, uderzając z boku na odkrytego naokoło gołębia, spowoduje przez silny wstrząs koszem bezowocne zatrzaśnienie żelaza. W porze letniej używamy do tego celu białego, w zimie na śniegu ciemniej upierzonego gołębia, który zawsze w swym koszu zaopatrzony być winien wodą i pożywieniem. — W otwartych rewirach myśliwskich ustawia się kosz na linjach przelotów jastrzębich na drzewkach polnych, w remizach, gęstwinach, ile możności niedaleko od lasu, ewentualnie na pagórkach, wzniesieniach i t. p. miejscach, obieranych chętnie przez drapieżne ptaki dla wypoczynku a zarazem obserwacji terenu. — Chwyta się jastrzębia także na zwykłe żelazo bez kosza z wypchanym gołębiem, ustawione w polu, wedle możności w pobliżu lasu, na odkrytych świeżych orkach lub na miejscach z płytkiem kryciem. — Na każdy wypadek jednak nastawić można kosz z żelazem względnie samo żelazo z zachowaniem ostrożności tam tylko, gdzie to nie zagraża ludziom i zwierzętom domowym. Nastawione przyrządy kontroluje się każdego dnia przynajmniej dwukrotnie.

Odstrzał jastrzębia jest zazwyczaj przypadkowy. Czasami, choć rzadko, udaje się na zasiadce z puhaczem, mimo że jastrząb uderza z lubością na puhacza, ale czyni to tak dyskretnie, cicho i nisko tuż ponad ziemią szybując i po jednorazowym ataku momentalnie znikając, że udane strzały zaledwie na 10% policzyćby można. Najczęściej puhacz przy nadciąganiu jastrzębia zeskakuje na ziemię, szykując się gniewnie do odparcia napastnika, i to właśnie bacznemu myśliwemu winno ułatwić przygotowanie się do strzału. — W lasach, w których się jastrząb gnieździ, można, po wypatrzeniu pieleszy, na rannej i podwieczorowej dobrze zakrytej zasiadce ustrzelić w przelocie stare a następnie także z łatwością młode, o ile te są już lotne — ewentualnie można jaja lub młodzież nielotną wybrać z gniazda, względnie gniazdo całe zniszczyć. Także można wybrane przedtem młode umieścić przywiązane do palika, w budce z chróstu ustawionej na ziemi pod temsamem drzewem, celem łatwego wówczas przy ich kwileniu złowienia rodziców na zwykłe żelazo, nastawione tuż przed otworem budki i przyprószone dla niepoznaki ziemią z mrowiska lub mchem. Należy tu wreszcie podkreślić, że rozmyślne skazywanie młodych na śmierć głodową przez ustrzelenie samych rodziców na zasiadce w pobliżu pieleszy, nie licowałoby z etyką łowiecką.

Krogulec (wolno także chwytać) znacznie mniejszy od gołębiarza, atoli również bardzo szkodliwy gatunek jastrzębia dla drobnej zwierzyny, zwłaszcza dla mołdych zajączków, kuropatw, przepiórek i t. p., także drobiu domowego. To, co powiedziano o jastrzębiu-gołębiarzu, odnieść można nagół i do krogulca.

W r o n y (wolno także chwytać) zaliczają się do największych szkodników, zwłaszcza w okresie znoszenia jaj i lęgów ptactwa oraz kocenia się drobnej zwierzyny użytkowej. Tam, gdzie o tym czasie występują w znacznych ilościach, stają się istną plagą dla rewiru myśliwskiego. O ile zwyczajny odstrzał, także ewent. przy puhaczu i na ukrytej wczas rano zasiadce w pobliżu gniazda, oraz podbieranie jaj wronich, wybieranie piskląt i niszczenie gniazd na wiosnę niewiele poskutkuje, w takim razie z konieczności i za zezwoleniem Min. Roln. względnie Województwa (obecnie Województwa — art. 51 d. i ost. ust. prawa łow.) możnaby w zimie uciec się do ostatecznego radykalnego środka, t. j. do trutek, przyczem naturalnie zachować należy potrzebne ostrożności. Najmniej zagrażającym dla otoczenia jest preparat fosforowy, tem mniej jeszcze, że po wyłożeniu skutkuje tylko przez pierwsze kilka dni, podczas gdy dla otoczenia bardzo niebezpieczna strychnina, po miesiącach jeszcze, wyłożona na otwartem miejscu, zachowuje swą moc zabójczą i dlatego stosowania jej unikać należy.

Trutkę wykłada się w zimie, najlepiej obok złożonych kup nawozu na oddalonych polach, gdzie wrony w tym czasie liczniej przebywają. Po spożyciu jej, wrony odlatują na inne miejsca, drzewa lub do pobliskiego lasu i tam przeważnie po kilku godzinach padają bez wzbudzenia podejrzeń u innych wron, z natury tak ostrożnych i podejrzliwych ptaków. Miejsce na zakładanie preparatu w ciągu zimy często zmienić należy. — Trutkę możemy sami przyrządzić ze świeżej krwi bydlęcej, zmieszanej dobrze z syropem fosforowym w stosunku jednego litra krwi do stu gramów syropu z ewentualnym dla zgęstnienia małym dodatkiem otrąb albo mąki lub ugotowanych gniecionych ziemniaków. Sporządza się masę każdorazowo, ze względu na ograniczoną do czasu skuteczność, tylko w takiej ilości, ile jej na jednodniowy użytek potrzeba. Mieszaninę tę wykłada się w grubszych warstwach, wielkości krowieńców, na silnie udeptanym śniegu lub w braku tegoż na mocno udeptanym gnoju (ażeby tak łatwo nie przeciekała), najlepiej w godzinach popołudniowych względnie przedwieczorowych. Można również trutkę z nieco gęstszej masy urobić w formie gałek i użyć ich także na wiosnę na oddalonych polach po lekkiem przykryciu nawozem. Trutki takie rozłożyć też można w pobliżu wód dla zapobieżenia niszczeniu jaj kaczych i t. p. przez wrony i sroki. Wczas rano usuwa się padłe wrony z zauważonych przedtem miejsc noclegowych. Kuropatwy, bażanty i psy nie tykają tego preparatu.

Uwaga. — W braku przyrządów do łapania w miejscowych magazynach broni, można je sprowadzić od firm:
„Bracia Borzych" Międzychód nad Wartą (nb. łapki najnowsze na drapieżniki) — albo
„Mieczysław Nowak" Kalisz, Warszawska 11 (nb. wytwórnia żelaz (potrzasków) na drapieżniki).
Lwowska Spółdzielnia Myśliwska — Lwów, ul. Akademicka 3.
Istnieją też żelaza z gumowemi osłonami, zamiast zębów kolczastych.
(C. d. n.)



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 25. listopada 1929 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: C. Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, Dr. A. Małaczyński, E. Münter, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosienkiewicz, Dr. W. Ziembicki oraz zastępcy: M. Chrzanowski, St. Kiełczewski i St. Madeyski.

Nieobecność usprawiedliwili: St. Jaśkiewicz, A. Papara i St. Pieńczykowski.

Prezes zdał sprawę z przebiegu posiedzenia Zarządu Głównego Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie. Nad sprawozdaniem rozwinęła się obszerna dyskusja, zajęcie zaś stanowiska wobec dezyderatów Centrali odłożono do następnego posiedzenia Wydziału.

Po przedstawieniu sprawozdania kasowego, postanowiono po dłuższej dyskusji, zaprowadzić nową księgowość w Towarzystwie, wychodząc z tego zapatrywania, że, jakkolwiek sprawa ta pociągnie za sobą znaczniejszy wydatek, Towarzystwo musi mieć w każdej chwili obraz swej gospodarki i znać stan swych finansów, czego przy obecnym systemie rachunkowości absolutnie niema.

Przyjęto do wiadomości wygaśnięcia mandatów delegatów Aleksandra Ulma w powiecie brzozowskim i R. Bohosiewicza w powiecie horodeńskim z powodu przesiedlenia się ich, tudzież, że mandat Stanisława hr. Potulickiego wygasł wskutek skreślenia go z listy członków, a wreszcie z żalem, że delegat na powiat krośnieński Jan Gorayski, zmarł.

W poczet członków zostali przyjęci: prof. Dr. Marjan Franke we Lwowie, Zdzisław Janicki w Czortkowie, Franciszek Krajewski tamże, Stanisław Kuczkiewicz tamże, Andrzej Łępkowski w Choronowie pow. Rawa Ruska, Maurycy hr. Potocki w Jabłonnej k. Warszawy, Tow. Łowieckie w Bolechowie pow. Dolina, Marjan Zalasiński w Dubiecku pow. Przemyśl i Ignacy Zakrzewski w Czołhanach pow. Dolina.

Stanisław Morawetrz
sekretarz

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 9. grudnia 1929 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, Wł. Garapich, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, E, Münter, H. Prek, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosienkiewicz, Dr. W. Ziembicki; zastępcy: M. Chrzanowski, St. Madeyski i A. Papara.

Nieobecność usprawiedliwili: Wiceprezes C. Czarkowski-Golejewski, St. Jaśkiewicz i Gen. Fr. hr. Meraviglia-Crivelli.

Ustalono ostatecznie zasady, na których ma się w przyszłości opierać księgowość Towarzystwa. — Przyjęto do wiadomości sprawozdanie delegatów Wydziału z konferencji w Województwie lwowskiem w sprawie ogłoszenia czasów ochronnych dla niektórych gatunków zwierzyny na rok 1930, po myśli art. 52 rozp. o prawie łowieckiem i uchwalono z analogicznemi propozycjami wystąpić także wobec Województw w Stanisławowie i Tarnopolu.

Postanowiono skreślić z listy członków cały szereg osób, z któremi Wydział od dłuższego czasu kontakt stracił i którzy od dłuższego czasu żadnych wkładek nie płacą.

Nazwiska skreślonych podaje się poniżej w przypuszczeniu, że Panowie Delegaci Towarzystwa, zdołają niektórych ze skreślonych napowrót nawrócić pod nasz sztandar.

W najbliższym czasie Wydział skreśli z listy członków tych, których adresy są nam wprawdzie znane, którzy jednak od dłuższego czasu z wkładkami zalegają i mimo urgensów kancelarji i Syndyka, swych zaległości nie wyrównują. Skreślenie to nie wpłynie zupełnie na wdrożoną już akcję ściągnięcia zaległości w drodze sądowej.

* * *

Z listy członków uchwałą Wydziału M. T. Ł. z dnia 9 listopada 1929, skreśleni zostali:

Albert Edward, Lwów Ormiańska 2; Berwid Bronisław, Lwów Niemcewicza 9; Cichowicz Antoni, Pryjma, pta Mikołajów; Galus Karol, Katowice Plebiscytowa 1; Gawlikowski Stanisław, Kamionka str.; Gliniański Adolf, Lwów Listopada 7; Hackbeil Florjan, Rzeszów; Haich Alfred, Lwów Potockiego 30; Herbinger Juljusz, Jankowce, pta Hłuboczek Wielki; Jabczuga Józef, Bortniki, pta Monasterzyska; Jarra Wacław, Lwów Racławicka 1; Klisz Jan, Kielce Wesoła 28; Kokoszyński Stanisław, Bóbrka; Kuzia Paweł, Toruń, Województwo; Kwaśniewski Adam, Tycha, pta Ławrów; Lis Stanisław, Lwów Legjonów 3; Inż. Łabędzki Emil, Lubaczów; Michalski Zygmunt, Chatki ad Brzeżany; Mioduszewski Franciszek, Maniów, pta Wola Michowa; Pałasiewicz Józef, Klesów powiat Sarny, Polesie; Pastuszyński Zygmunt, Lwów Grodecka rogatka; Pietruski Oktaw, Wyszecino koło Wejherowa; Rawski Jerzy, Lwów Kordeckiego 37; Rozwadowski Wiktor, LwówPonińskiego 11; Rudeński Jan, Lwów Lelewela 17; Schiebl Oskar, Prybeń pta Przemyślany; Seile Walerjan, Biała Czortkowska, pta Czortków; Simon Tadeusz, Bilcze Złote, pta Sokołów; Skrzyszowski Jerzy, Stanimierz, pta Pohorylce; Sroczyński Karol, Lwów Potockiego 52; Szepczyński Włodzimierz, Lwów Lelewela 17; Tyralski Tadeusz, Iwanicze pta Poryck; Tysson Adam, Lwów Małeckiego 3; Wadas Leon, Mościska; Walczak Kazimierz, Borszczów; Waniczek Ryszard, Lwów Jabłonowskich 26; Wiszkin Józef, Borysław; Zaczek Stanisław, Podhajce; Żuławski Sławomir, Tarnowskie-Góry, Górny Śląsk.

Na ołtarz Św. Huberta w dalszym ciągu złożyli: S. C. Zł. 200.

Komunikat

Rozszerzenie czasu ochronnego.

1) Wojewoda stanisławowski rozp. z dnia 21/XI, Nr. A. D. 5170/P. O./29, rozszerzył czas ochronny na wszelką zwierzynę łowną na całym obszarze obwodów łowieckich wspólnych w gminach: Lisowice, Wola Zaderewacka i Nadziejów pow. dolińskiego, na okres 3 lat t. j. do 30/XI 1932.

2) Wojewoda stanisławowski rozp. z dnia 21/XI 929 Nr. A. D. 5170/P. O. rozszerzył czas ochronny na sarny-kozły na obszarze powiatu śniatyńskiego od 1/XII—31/I i od 21/IV do 1/VI na lat 3 t. j. do 30/IX 1932.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32